

Prywatyzacja polskich lasów?

Po II Wojnie Światowej polsko-radzieckie władze odebrały prywatnym właścicielom wszystko, co się dało odebrać i zaangażowały się w nieudany eksperyment gospodarczy. Zakończył się on w 1989 r., zaś gospodarka stanęła przed perspektywą reprivatyzacji. Większość majątku udało się wydobyć spod kurateli państwowej, ale nie wszyscy legalni spadkobiercy pokrzywdzonych właścicieli zostali usatysfakcjonowani. Gdyby znacjonalizowane majątki były po 1945 r. wykorzystane efektywnie, to byłoby z czego zwracać. Tragedia polega jednak na tym, że znacjonalizowane majątki w wielu przypadkach zostały zmarnowane i współczesne pokolenie musiałoby po prostu zrobić zrzutkę, aby zaspokoić roszczenia reprivatyzacyjne. Porównując rozwój gospodarczy gospodarek rynkowych i centralnie planowanych można by utrzymywać, że te ostatnie w końcu przegrały, ale wynikało to z przesłanek innych niż ustrojowe (historyczne, psychologiczne, geograficzne, czy coś w tym rodzaju). Jednak dwa przykłady eliminują te wątpliwości. Wystarczy spojrzeć na rozwój Korei i Niemiec. Pierwsza podzieliła się przed ponad półwieczem i z jednej gospodarki zrobiły się dwie: rynkowa i centralnie planowana. Czym się od siebie różnią po długotrwałej separacji nie trzeba nikomu wyjaśniać. Również wyraźna – choć nie tak drastyczna – była różnica pomiędzy RFN i NRD po czterdziestu latach podążania innymi ścieżkami ustrojowymi, mimo wspólnego punktu startu.

Tak więc majątek odebrany prywatnym właścicielom w Polsce po II Wojnie Światowej został w znacznej mierze bezpowrotnie zmarnowany. Tymczasem spadkobiercy właścicieli nie chcą się z tym pogodzić, a również opinia publiczna uważa, że kradzież nie powinna ulec przedawnieniu. Tylko skąd wziąć pieniądze, żeby zaspokoić roszczenia? Co kilka lat powraca pomysł – a obowiązuje tu swego rodzaju "porozumienie ponad podziałami" – żeby pieniądze wziąć z Lasów Państwowych. Jest to bowiem duży kapitał w rękach władzy państwowej, który z pozoru mógłby te roszczenia zaspokoić. Czy rzeczywiście?

Za prywatyzacją Lasów Państwowych przemawiają pewne argumenty. Lasy są prywatne w wielu krajach – na przykład w Szwecji – i nie ma katastrofy. Również w II Rzeczypospolitej lasy były często prywatne i kraj nie popadł z tego powodu w ruinę.

Jednak ekonomista widzi ten problem zupełnie inaczej. Zasadniczym produktem gospodarki leśnej, który da się sprzedać jest drewno. W naszym klimacie, wydajność fotosyntezy nawet w optymalnych warunkach jest niska. Wynika stąd, że z hektara trwale eksploatowanego lasu można przeciętnie uzyskiwać nie więcej niż 4 m³ drewna rocznie. Odnosząc to do ilości zakumulowanej tam grubizny – co najmniej 250 m³, najwyżej zaś 400 m³ – pozwala to na wydajność nie większą niż 1,5% rocznie. Innymi słowy właściciel lasu o wartości 100.000 zł może rocznie zarabiać na nim niespełna 1.500 zł. Kto z nas zadowolony jest zwrotem 1,5% od posiadanego kapitału? Przecież deponując równowartość w banku, bez żadnego wysiłku ani ryzyka można zarobić przynajmniej dwa razy więcej. A gospodarując w lesie trzeba jeszcze finansować jakieś koszty eksploatacyjne, ponosić ryzyko pożaru lub plagi szkodników i ścigać złodziei.

Tym niemniej w przeszłości z lasu można było sobie żyć dostatnio. Ale działo się tak tylko dlatego, że w sytuacji, gdy okazji do intratnego inwestowania było niewiele, 1,5% zwrotu od kapitału stanowiło atrakcję. Ponadto w codziennych budżetach produkty lasu i pola ważyły znacznie więcej niż obecnie. A zatem ten, kto dysponował lasem był panem całą gębą. Czasy te należą już do przeszłości i trzeba sobie jasno powiedzieć, że produkcja leśna nie oznacza tego samego, co dawniej.

Z drugiej strony, badania wykonane niedawno na Uniwersytecie Warszawskim ukazują, że walory rekreacyjne lasów w Polsce znacznie przewyższają wartość pozyskanej grubizny. Tyle tylko, że właścicielowi lasu trudno byłoby je sprzedawać. Nawet gdyby za prawo biwakowania, zbierania runa i wstępu do lasu trzeba było zapłacić, to w praktyce koszt wyegzekwowania tego prawa (płoty, ochroniarze, procedury sądowe itp.) musiałby być bardzo wysoki – kto wie, czy nie większy od zebranych w ten sposób przychodów. Ponadto lasy dostarczają wielu innych usług, takich jak regulacja stosunków wodnych, ochrona klimatu, czy przeciwdziałanie erozji, których "komercjalizacja" byłaby jeszcze trudniejsza. Trzeba się zatem pogodzić z tym, że właściciel lasu może być przez rynek tylko częściowo wynagrodzony, a mianowicie głównie z tytułu wyrąbanego drewna.

Mimo wszystko ludzie chętnie otrzymaliby rekompensatę w formie lasu. Jest to, bądź co bądź, piękny majątek. Dopiero z chwilą, gdy właściciel orientuje się, że jego kapitał przynosi dochód rzędu 1,5% rocznie, zaczyna się zastanawiać, czy tego odsetka nie dałoby się podnieść. Są na to dwa sposoby. Pierwszy polega na wyrąbaniu całego lasu, a nie tylko rocznego przyrostu i przeznaczaniu zwolnionych w ten sposób pieniędzy i terenu na coś bardziej intratnego. Drugi polega na utrzymywaniu lasu w dobrej kondycji i wymaganiami od władzy, żeby z budżetu zrekompensowała wartości nierynkowe, których ten las społeczeństwu dostarcza. Jest to, nawiasem mówiąc, znacznie więcej niż wartość grubizny.

Co roku czyta się o katastrofalnych pożarach lasów w Portugalii i Grecji. Pojawia się również informacja, że pożary te spowodowane są celowymi podpaleniami. Co więcej, często okazuje się, że podpalaczami są sami właściciele. Jak to jest możliwe? Dla ekonomisty nie stanowi to żadnej niespodzianki. Po prostu właściciel lasu w kraju, którego rząd usiłuje prowadzić jakąś politykę ochronną jest zmuszany do gospodarowania w sposób trwały. Zorientowawszy się zaś, że taka gospodarka daje dziś mizerny zarobek, kombinuje, jak by można swoje przychody zwiększyć. W krajach zamożnych mogą spełniać taką rolę dotacje budżetowe. Natomiast w krajach uboższych sfrustrowani właściciele próbują się pozbyć kłopotliwego kapitału, choćby puszczając las z dymem.

Polskie Lasy Państwowe są zarządzane dość profesjonalnie. Fakt, że przychód z posiadanego kapitału jest niski traktuje się jako oczywisty sam przez się i nie usiłuje się go zwiększyć do poziomu obserwowanego w innych gałęziach gospodarki. Gdyby ten sam kapitał przeszedł w prywatne ręce, społeczeństwo musiałoby dopłacać do każdego hektara co najmniej drugie lub trzecie tyle, ile można uczciwie zarobić na sprzedaży grubizny. W przeciwnym razie presja, aby tego kapitału się pozbyć byłaby trudna do opanowania.

W krajach zamożnych – takich jak Szwecja – udaje się wyegzekwować nawet od prywatnych właścicieli eksploatację lasu z poszanowaniem zasady trwałości. W krajach mniej zamożnych – takich jak Grecja czy Portugalia – rządowi nie udaje się prywatnych właścicieli zmusić do trwałej gospodarki leśnej, a skutki są widoczne z ziemi i z kosmosu. Obawiam się, że mimo iż klimat Polski bardziej przypomina szwedzki niż śródziemnomorski, prywatyzacja naszych lasów doprowadziłaby do sytuacji podobnej jak we współczesnej Grecji i Portugalii. Zrekompensovane w ten sposób pokrzywdzonych właścicieli lub ich spadkobierców tylko pozornie obyłyby się bez pośrednictwa budżetu. W rzeczywistości, gdyby nam zależało na trwałej gospodarce leśnej, trzeba by było z budżetu wykładać w formie subwencji więcej, niż mielibyśmy przeznaczyć na odszkodowania pieniężne dla właścicieli znacjonalizowanych majątków. Miejmy nadzieję, że pomysł prywatyzacji Lasów Państwowych w Polsce niebawem zniknie (przynajmniej na kolejnych parę lat).